

G O E T H E.



W roku 1832, zeszło z tego świata kilku znamienitych pisarzy i uczonych. Francya straciła Cuviera, Anglia Waltera-Skotta, a Niemcy dostojnego patriarchy ich literatury, Jana Wolfganga Goethe. Tego to męża wyobrażenie, stawiamy przed oczyma czytelników, a gdy zakres pisma nie pozwala wchodzić w rozbiór tak licznych prac jego, gdy spokojne i błogie życie Goethego, w krótkich słowach opowiedzieć możemy, skreślimy zarys rozwijania się jego pomysłów i prac naukowych, po większej części wyjęty z jego własnych pamiętników.

Jan Wolfgang de Goethe, urodził się w Frankfurcie nad Menem 28 Sierpnia 1749. Ojciec jego, dawny prawnik, spokrewniony z najznacześniejszymi familiami w mieście, wiódł życie dosyć oddalone od spraw publicznych. Postrzegłszy wkrótce zaród wyższego rzędu zdolności w synu swoim, przyłożył się jak najusilniej do ich rozwinięcia.

Nie będziemy trudzić czytelników, wykazaniem postępów Goethego w początkowych naukach; lecz przytoczymy kilka anegdot, które sam w pamiętnikach swoich zachował. Albowiem, chociaż często zwiesza

się można szukając w okolicznościach dotyczących się pierwszych lat znakomitego męża, źródła jego dzieł wielkich i pięknych; są jednakże znamienne wypadki, którym przyznać musimy, że zostają w związku z dalszym przeznaczeniem człowieka. Do takich to zdarzeń należy następujące. Goethe miał naówczas sześć lat dopiero. Opowiada je po najpierwszych swoich rozmyślaniach o naturze Boga i czei jemu należnej. »Nie mogąc sobie wyobrazić Najwyższego Jestestwa, szukałem go w dziełach jego, i za przykładem patryarchów chciałem mu ołtarz wystawić. Niektóre płody przyrodzenia miały mi posłużyć do wyobrażenia świata, a zapalony płomień mógł wyobrażać duszę człowieka podnoszącą się do swego Twórcy. Wybrałem w tym celu rozmaite przedmioty z historii naturalnej, które miałem pod ręką. Za ołtarz posłużył mi pulpit od muzyki, przeznaczony do grywania kwartetów, a nie używany od dawna. Wziąłem go, pustałem na nim, jedne nad drugimi, wszystkie moje przedmioty z historii naturalnej w wyraźnym i odznaczającym się porządku. O wschodzie słońca chciałem dopełnić mego pierwszego aktu uczczenia, lecz nie wiedziałem jeszcze jak otrzymać mój symboliczny płomień, który powinien był zarazem przyjemną woń wydawać. Nareszcie dopełniłem tych dwóch warunków. Posiadałem małe ziarno kadzidła; przygotowałem wszystko, a słońce weszło już od niejakiego czasu. Lecz domy sąsiedzkie nie dopuszczały aż do mnie jego promieni, i dopiero po długim oczekiwaniu, za pomocą szkła palącego, zapaliłem moje kadzidło pięknie ułożone na miseczce porcelanowej. Ta upragniona chwila przyszła nareszcie, spełniłem ofiarę, zadosyć uczyniłem pobożności mojej, i odtąd ołtarz ten stał się główną ozdobą mego pokoju.«

Zaiste, osobliwszy to jest pomysł u dziecięcia w tym wieku, a jeszcze osobliwsza wytrwałość w przywiedzeniu go do skutku. Ze usiłował pod materialną formą wystawić sobie tę nieskończoną istotę, o której mu nieustannie mówiono, jest to zamysł, który może nie jeden z nas powziął w dzieciństwie: lecz że chciał oddawać zewnętrzną cześć bóstwu, które sobie utworzył i na to wynalazł godła tak jasne, tak trafne, tak poetyczne; jest to owoc za zbyt mocnej wyobraźni, abysmy w nim nie poznali autora Egmonta. Nadprzyrodzony płomień który okazał się nagle nad głową Askaniusza, nie był pewnością przepowiednią wielkości.

Od dzieciństwa, przy takiej zdolności umysłu, wszystkie przymioty czyniły na nim głębokie i mocne wrażenie. Zrodzo-

ny w jednym z najstarszych miast niemieckich, w jednym z najdawniejszych jego domów, przejmując się czytaniem najstarszych kronik, powziął upodobanie w historii. »Lubiłem, mówi, badać rysy ludów, bez innej pobudki prócz rozmaitości i prawdy obyczajów, bez względu na ich ważność lub piękność moralną.« — Oddany do szkół po śmierci swojej babki, w chwilach wolnych od nauk, zwiedzał z kilku towarzyszami, wały i przechadzki Frankfortu. Ciasne i ciemne ulice dawnego obwołu, wieże zaczerwione przeciągiem lat, stare bramy, miały w jego oczach największy powab. Lubił spoglądać na te budowle gotyckie, wzniesione w epoce zaburzeń i trwogi, gdy miasta były tylko warowniami i miejscem przytułku. A gdy niemi pał swoje oczy, historia starożytności narodowych której się uczył, zarazem przybierała nieznacznie w jego umyśle, byt, rzeczywistość i życie, którejby nie miała gdyby był na samych łąkach poprzestał.

Babka jego podarowała mu teatrzyk maryonetek. Zdarzenie to umieścić w pierwszych rozdziałach swego romansu Wilhelm Meister, w którym je przytacza jako jedną z przyczyn skłaniających bohatera tego romansu, iż zostaje aktorem.

Wśród tych spokojnych nauk i zabaw, sroga wówczas choroba, ospa, dotknęła Goethego i po długiej słabości wzmocniła w nim upodobanie w życiu samotnem i skłonność do smutku. Wojna siedmioletnia, stała się powodem poróżnień w wielu rodzinach, których członkowie, jedni trzymali stronę Maryi Teresy, a drudzy Fryderyka W.; toż zaszło w rodzinie Goethego. »Okoliczność ta, mówi Goethe, wzbudziła we mnie obojętność lub raczej pogardę sądu publicznego; chorobę moralną, z której w długi czas potem uleczyło mnie doświadczenie i rozwaga.«

Wojna siedmioletnia, jeszcze bliższy wpływ miała na niego, z powodu wejścia do Frankfortu wojsk francuzkich. Jeden z wyższych oficerów tego korpusu, hrabia Thorane, człowiek bardzo świątły, stanął w domu rodziców Goethego, polubił młodziego ich syna, i oswoił go z arcy-dziełami literatury swego narodu. Uczęszczał na teatr francuzki, znajdujący się w Frankfurcie, zaznajomił się Goethe z różniemi artystami, należącymi do grona regu dramatycznych.

Pobyt hrabiego Thorane w domu rodziców Goethego, przerwał był porządek nauki: po jego oddaleniu się, ojciec żądał od dzieci, aby wynagrodziły to opóźnienie. Przyszło wtenczas Goethemu na myśl, u-

kładać lekcye w kształcie korespondency między dwoma uczniami, podróżującymi w rozmaitych krajach i zdającymi sobie sprawę z swoich prac i podróży. Chcąc wprowadzić do tej korespondencyi żyda niemieckiego z jego zepsutym dyalektem, nauczył się po hebrajsku. Nauka ta, przywiodła go do poznania starego testamentu; a ponieważ uważał wszystko ze strony poetycznej, powziął namiętne upodobanie w historyach opowiadanych w tej xiędze stylem tak prostym i szezynym. Historia Józefa niezmiernie go uderzyła i uczuł potrzebę rozwinięcia i wystawienia wszystkich jej okoliczności.—»Użyłem do dzieła tego prozy poetycznej i z zapamiętaniem wziąłem się do pracy, usiłując odmalować czysto główne charaktery i nadać tej prostej powieści, przez ustępy, znamię wielkiej epopei. Zapomniałem o tém, co młodzież zawsze zapomina, że takowe dzieło powinno mieć właściwą barwę i że aby ją uchwycić, długiego doświadczenia potrzeba. Nareszcie, źle czy dobrze, skończyłem mój romans biblijno-poetyczny.

Ojciec nie przyganiał tym pracom dokonywanym w chwilach wolnych od nauki. Lecz gdy już dochodził do cztertnastego roku, zamierzając sobie ukszałcić go na bieglego prawnika, zniewolił go do porzucenia poezyi i zamiast starego testamentu dał mu rękę *Corpus Juris*.

Nie bardzo zajmujące czytanie tego dzieła, nauka pierwszych zasad umiejętności przyrodzonych i mechanicznych, nareszcie lekcye fechtowania się i jeżdżenia na koniu, zajmowały wszystkie jego chwile. Lecz mimo tak licznych zatrudnień, wracał niekiedy do historyi starożytności miasta Frankfurtu.—»Jak dawniej, mówi, lubiłem średnie wieki, chwile niespokojności, gdy każdy będąc uzbrojony przeciw wszystkim, mógł swobodnie osobistą dzielność rozwiąć.

Pragnąc wszystko widzieć i wszystko poznać, często zwiedzał nie tylko ulice miasta, lecz i wnętrza domów. Część miasta zamieszkała przez żydów, była głównym celem jego odwiedzin.

Przyjaciele ojca Goetego, usiłowali odwieść młodzieńca od poezyi i autorstwa. Lecz, mówi, czułem że mię przejmuje żądza wstawienia się czém nadzwyczajnym, i to, pierwój jeszcze, nim wiedziałem do jakiego szczególnego celu zwrócę moje usiłowania. Zazwyczaj, goręcej pragniemy otrzywać uwodzącą nas nagrodę, aniżeli pracą nabyć sposoby do jej pozyskania. Dla czegożbym tań, że w marzeniach szczęścia i chwały, najwięcej przed moimi oczyma miał wdzięk, obraz lauru przeznaczonego dla poety?

Pełen tej żądzy, pisał wiersze w chwilach wolnych od pracy; — niewinne to zatrudnienie zaledwie mu zgubnem nie było. Kilku z roztrzepanej młodzieży, chcąc się zabawić cudzym kosztem, prosiło Goethego aby im dopomógł. — Przystąpił na to; a pierwsze te związki dość nie stósowne, wciągnęły go w dalsze. — Nieznacznie wmieształ się między ludzi podejrzaných, nawet po większej części przekonanych o szalbierstwa, a zbiegiem okoliczności których tu nie potrzeba wyliczać, poczytany został za ich współnika. Oskarżenie to nie miało ważnych dla niego skutków, lecz wielu jego przyjaciół narażonych było, a lubo nie chciał ich obwiniać zeznaniami swojemi, jednakże i w tym co musiał powiedzieć dla usprawiedliwienia swojego, obawiał się, aby przeciwko nim broni nie znalaziono. Ich więc ukaranie dwukrotnie przykre mu było.

Lecz w tém zdarzeniu, jeszcze większym smutkiem przejęło go to, że musiał na zawsze zerwać związek z młodą dziewczyną, imieniem Małgorzatą. Związek ten, czysty, jak wszelkie w tej dobie życia zawarte, stopniami przybrał znamiona prawdziwej namiętności, przynajmniej w Goethem. W pamiętnikach jego czytać trzeba opisanie godzin, które codziennie przy niej przepędzał; jest to zachwycający obraz upojenia i świeżości pierwszego kochania.

Tę samą dziewczynę odmalował później w obrazie kochanki Fausta.

Można więc sobie wystawić, co wycierpiał, dowiedziawszy się, że poszukiwania zwrócone zostały przeciw rodzicom kochanej jego Małgorzaty, i że ją samą wmieszano do sprawy. Przyaresztowany w mieszkaniu swoim, nie mając innych wiadomości, prócz tych których udzielić mu chcieli, z nieustanną niespokojnością zachorował. Gdy zaczął przychodzić do zdrowia, jeden z przyjaciół opowiedział mu los jego towarzyszków, a gdy Goethe zniewalał go do objawienia mu co się stało z Małgorzatą: »Uspokój się, rzekł, ta dziewczyna dowiodła swojej niewinności. —»Cóż zeznała? co podpisała? —»Ponieważ chcesz koniecznie wiedzieć, gdy ją zapytano o jej związkach z tobą: —»Nie mogę zaprzeczyć, odpowiedziała tonem pełnym szczerości, że go często i z upodobaniem widywała, lecz zawsze miałam go za dziecko.»

»Myśl ta, że Małgorzata miała mnie za dziecko, zupełnie mnie wywiodła z uroku. Mniemałem że się uleczył z mojego przywiązania do niej; lecz spokojność daleka była odemnie: — jej ukochany obraz zbyt często odnawiał się w mojej pamięci...

»Obszerniej wspominałem o tej przygodzie, ponieważ jest ważną w piętnastym

roku życia; — stanowi wówczas epokę: jest to promień, który przedzierając się do umysłu młodzieńca, oświeca po raz pierwszy pomieszany aż dotąd zbiór rzeczy, które w nim od dzieciństwa mechanicznie pamięć nagromadziła.»

Można sobie wyobrazić co się działo w umyśle Goethego, gdy znikło to lubie omamienie. Pocięszył się naraście; a rodzaj pracy, jaką obrał aby tego dokazać, oznacza zarazem spokojną i usilną stałość, która w nim zawsze się z najgorętszym sercem łączyła, i tę siłę rozważli, pod której wodzą ciągle zostawała jego tak żywa wyobraźnia.

Goethe zaczął wtenczas piętnasty rok życia, a chwila jego udania się do uniwersytetu, nie była daleką. — Lecz po tak gwałtownym wstrząśnieniu, wszystko zdawało mu się ponurę i zmartwiałem; nie go nie zajmowało, nie nie zwracało jego uwagi. Szczęściem, że przyjaciel, który go był doglądał w chorobie, i czuł nad nim, posiadał zdrowy rozsądek i gruntowną naukę. Przebiegając wszystkie umiejętności, wynalazł jedną, zupełnie nową dla Goethego, i mogącą silnie go zająć; była to filozofia, w której prócz tego, ten przyjaciel szczególne miał upodobanie. Zaraz chciał go jednego systemu nauczać; lecz widząc że uczeń nie bardzo się nim zajmuje, musiał dogmatyzm dla historii porzucić. Czytali więc razem Bruckera, i Goethe mocno się jego historią zajął, ponieważ każde zdanie, każdy systemat był w jego oczach równie dobry jak inne. Tym sposobem objawiała się w nim skłonność do sceptycyzmu, która tak ponurą barwą pierwsze dzieła jego okrywszy, zamieniła się po tym w spokojną obojętność, i była przyczyną zadziwiającej rozmaitości, a może nawet zwykłej oziębłości następnych jego utworów. Znudzony okragiem, w którym był prawie uwięziony, i mniemając że zdala od ojca będzie mógł bez przymusu zająć się poetyckimi pracami, Goethe co raz bardziej utęskniał za chwilą swego odjazdu. Życzył sobie udać się do Goettyngi, gdzie byli profesorowie Heyne i Michaelis; lecz wola rodzicielska inaczej postanowiła, i musiał udać do się Lipska.

Wkrótce postradał urok jaki go był przynęcał. Zamiast zajmujących kursów, znalazł tylko same nudne powtarzania rzeczy, które już umiał na pamięć; zamiast zachęty, znalazł w profesorach surowość. Wszystkie utwory poetyckie które uwielbiał, oni gorzko potępiali, a nie wskazywali mu innych wzorów. Jego wiersze wydały się być złe każdemu komu je tylko przeczytał; sam naraście poszedł za ich zdaniem: zwią-

zał w pęk wszystkie swoje rękopisma, «a potem, mówi, prozę, poezją, plany, zarysy, wszystko to rzuciłem w komin. Dym który z nich powstał, napętniając dom, przestraszył naszą gospodynię. Taki los spotkał pierwsze usiłowania mego geniuszu.»

Bez wątpienia, pobyt Goethego w uniwersytecie lipskim, podał mu przedmiot sceny ucznia i Mefistofelesa w Fauście. Następująca uwaga co do słowa znajduje się w rozmowie tego szatana o metafizyce: — «Poznałem wkrótce że filozofia niczego mi nowego nie naucza. Dziwno mi było, na przykład, że loika zmuszała mię do składowania i rozkładania tych działań umysłu, które od dzieciństwa z największą łatwością wykonywałem.»

Jakkolwiek takowy zawód goryczą go przejął, nie pognębił go wcale, a nawet był mu korzystnym. Człowiek słaby zbłądzi bez przewodnika, lecz kto w sobie samym źródło zasiteków znajduje, zyska na tem że go mieć nie będzie. Zamiast puszczania się ubitą drogą, musi wynajdywać nowe. W takiej to okoliczności znajdował się Goethe, i przed nią się nie chronił.

Radca Boehme, professor historii i prawa publicznego, sławny Gellert i wielu innych, od których spodziewał się lub zachęcenia albo przynajmniej rad użytecznych i skazówki, ganili to wszystko co on uwielbiał, i odwracali go od wszystkiego co sobie był zamierzył. Znudzony wręście tyłą sprzecznościami, powiększającemi się jeszcze przez rozmowy ludzi światowych, (gdyż zupełna wątpliwość panowała wówczas co do przedmiotów gustu w całych Niemczech) postanowił wręście sam siebie przed wszystkiemi radzić się i działać jak można najlepiej, nie dbając o publiczność. I to odosobnienie, szacowne dla takiego jak on umysłu, na zawsze zachował, różniąc się od tych ludzi, którzy zdanie swoje zupełnie do zdania drugich stosują i o których można powiedzieć, że postępują nie tak podług znajomości świata, jako raczej na wzór swoich znajomych.

«Moje dzieciństwo i młodość łączyły się z epoką naszej rozwinąłności literackiej. Przez ten czas pracowałem z ciągłą gorliwością, w towarzystwie wielu zasłużonych ludzi. Znaczna ilość rękopismów pozostałych w domu ojcowskim, zaświadczała o mojej pracy. Spaliłem, zniechęcony raczej niżeli przekonany o ich słabości, mnóstwo prób, planów i pism już do połowy wykonanych. Rozmowy, prelekcye, spór tak różnych mniemań, a zwłaszcza zdanie jednego z naszych biesiadników, rady Pfeila, nauczyły mnie dwie rzeczy przede-

wszystkimi cenić: — 1) ważność i interes przedmiotu — 2) zwięzłość stylu. Lecz nie wiedziałem jak wynaleźć te przedmioty, jak tej zwięzłości dostąpić. Szczupły zakres mego istnienia, obojętność moich towarzyszków, niedokładność nauczycieli, zupełna nicość okolicznej natury, wszystko to zmuszało mnie do szukania zasiłków w sobie samym. Jeżeli do moich poetyckich utworów chciałem znaleźć jakie prawdziwe natchnienie, jakie głębokie uczucie, jaką myśl trafną i wydatną, — w moim sercu czerpać je musiałem; jeźlim do moich obrazów potrzebował naocznych przedmiotów i zdarzeń — nie przestępowałem za obręb tych, które mnie bezpośrednio zająć mogły. Tym to sposobem zacząłem pisać małe poezye w wierszach wolnych, lub też w kształcie lirycznym. Tworzyłem je chwilowe zastanowienie się lub doznane uczucie. Tak więc poszedłem tą drogą, z której przez całe życie moje zboczyć nie mogłem; nazwyczajłem się opisywać, oddawać wierszem to co mnie mocno zajęło, co mi żywą radość lub przykrość sprawiło.»

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZABOBONY SZKOTÓW.

Szkocya jest uprzywilejowaną ziemią romansów i zabobonów poetycznych, tam kwitnęła wiara w wzrok duszy, w upiory, w czarowniki i w powieści, które chociaż nie opierają się na żadnej rozsądnej podstawie, jednakże miłe są i zajmujące. Wiadomo ile skarbów wy dobył Walter Skott z tej bogatej kopalni, i wrzeczy samój, jakież pomysły najbogatszego geniuszu przewyższyłyby zdolaty zmyslenia będące utworem gminnej wyobraźni? Sam nawet Homer cóż uczynił? oto zebrał zabobony upowszechnione za jego czasów i ubarwił je kolorytem poezyi. Między bajkami Szkocyi, bardzo wiele jest takich, które mogą wzniecić ciekawość i podobać się miłośnikom cudowności, tyle, ile bajki Greków. Lud Szkocyi wierzy w istnienie pewnego rodzaju pośrednich duchów, znajdujących się w powietrzu i wodzie. Ich władzy przypisuje wezbranie wód, wichry, i wszystkie zjawiska, których sobie wytłumaczyć nie zdoła. Przypuszcza, że te duchy mieszają się do spraw człowieka, czasem szkodzą, czasem dopomagają. Do szkodliwych duchów należą kobiety zielone, które pewnego razu pokazały się dwom myśliwym, spoczywającym w chacie po całodziennych trudach.

Zdarzyło się to w głębokiej dolinie. Noc była ciemna a niebo grubemi chmurami po-

kryte. Dwaj myśliwi byli młodzi, chata dobrze opatrzona; a grube i suche szczapy paliły się na ognisku. Już do połowy wypróżnili spore flaszki, a nie lękając się ani samotności ani cieni nocy, śpiewali aż do północy. Trunek już zaczął ćmić ich rozum.

Mamy, rzekł jeden z nich, wesołe piosenki i dobry trunek, jeszcze brakuje nam trzeciej uciechy. — Prawdę mówisz odpowiedział drugi, czemuż w tej chwili nie siedzą przy nas dwie dziewczyny góralki, nie bawią się i nie śpiewają z nami!

Natychmiast, jak gdyby przywołując do skutku to życzenie, wdzięczne głosy dały się słyszeć w niejakiiej odległości od chaty; lekki ten szmer wzmagął się powoli i stapanie odbiło się na murawie. Z lekka zapukano do drzwi, które otworzyły się same. Dwie dziewczyny weszły śpiewając i tańcząc: miały na sobie suknie zielone z najpiękniejszego jedwabiu i jaśniały najwyższym blaskiem piękności. Ale z kądże przyszły? Jakim sposobem? w jakim celu? Dwaj myśliwi ledwie oddychać mogli i zapytywali się wzajem jeden drugiego, z kąd się wzięły te piękne nieznajome. Nareszcie jeden z nich schwycił piękną dziewczynę w objęcia swoje; ona wyrwała się bez gniewu, wybiegła z chaty i znikła w cieniu. Myśliwy poszedł za nią.

— Zobaczmy dokąd poszli, rzekła druga dziewczyna. — Nie, odpowiedział drugi myśliwy: jest ciemno, zostanmy tutaj.

Młoda dziewczyna usiłowała wszelkimi podejściami zalotności, wyprowadzić go z domu, lecz tak była niecierpliwa, jej oczy tak się iskrzyły, iż strzelec zaczynał mieć podejrzenie iż to musi być jakaś nadprzyrodzona istota.

Poczekajmy za moim przyjacielem, rzekł. — Będzie za późno; muszę odejść natychmiast; pójdź, daj mi rękę. — Zaczekaj; powiedz mi wprzód... Ale słuchaj...

Krzyk powstał w niejakiiej odległości; był to głos jego towarzysza. Piękna nieznajoma zaczęła śpiewać co raz głośniej, jak gdyby dla przytłumienia tego złowieszczonego krzyku. Przestraszony strzelec poznał wówczas zasadzkę, i wezwał opieki Boga Rodzicy. Im gorliwiej odmawiał strofy pieśni *Salve Regina*, tém bardziej słabiały dźwięki tajemniczej dziewczyny, tém bardziej nikała jej piękność. Jednakże, za każdą zwrotką świętej pieśni, ponawiała śpiewanie, a gdy weszła zorza poranna, myśliwy już był na pół umarty z trudu i wycieńczenia. To szczęście, że za ostatnim znakiem Krzyża Sgo, czarodziejka znikła i ustały jej zgubne śpiewy.

Gdy słońce przedartło się przez chmury, myśliwiec poszedł szukać swojego to-



KAPLICA W ROSLYN.

warzysza, a znalazłszy jego pokaleczone zwłoki, okropnością przejęty uciekł z tej nieszczęsnej doliny, dziękując niebu, że go ochroniło od sideł *kobiet zielonych*.

Wróżki Szkocyi nie zawsze są złośliwe. Opowiadają, że nie jedna z nich porzuciła swoje nieznanne mieszkanie, aby pocieszać niewinnie prześladowane dziewczyny. Jedna z nich zaprzyjaźniła się z ładną Kilmenią, zwaną różą hrabstwa Pertu. Kilmenia codziennie zbierała torf potrzebny na opał domowy, gdy tymczasem jej bracia zepsuci niestuszną przychylnością matki, przepędzali czas na próżnowaniu lub na łowach. Dobra wróżka chcąc użyć pracy swojej przyjaciółce, czekała na nią co rano przy wnijsciu do *turhamu*, czyli małego czarnego wzgórza, gdzie było jej mieszka-

nie. Kilmenia zapukała w skałę trzy razy, a przez mały otwór pokazywała się rączką, trzymającą nożyk. Tym nożykiem Kilmenia wykrawała w przeciągu kilku minut tyle torfu, ile jej było potrzeba. Skończywszy pracę, pukała dwa razy w skałę, a mała ręka pokazywała się znowu i odbierała nożyk,

Tak to, łatwowierna Szkocya zaludniona nadprzyrodzonymi istotami swoje samotne doliny i góry. W kraju tym, prawie do każdego pomnika przywiązuje się jakąś cudowna legenda; taką jest między innymi ciekawa kaplica w Roslyn, której wspaniałość wzbudza podziwienie a razem i żal, że tylko jest na pół ukończona. Kaplica Roslynu jest kształtu równoległobokowego, prawie dwa razy dłuższa niżeli szer-

szą; architektura jej łączy w sobie styl XIII i XV wieku.

Kolumna pokryta bluszczem, którą łatwo można rozpoznać na rycinie naszej, jest widocznym przykładem tej dziwaczności w budowie, chociaż piękność liści zasługuje na uwagę. Podanie mówi, iż rzeźbiarz przypominając sobie, że podobną kolumnę widział był w Rzymie, udał się do tego miasta dla wzięcia kopii. Za powrotem ujrzał, iż jeden z uczniów podczas jego nieobecności, zrobił kolumnę. Doskonałość i bogactwo roboty, zapaliły zazdrość mistrza tak dalece, iż uderzeniem młota, na miejscu zabił młoderżca. Na pamiątkę tak smutnego wypadku, kolumnę nazwano *filarem ucznia*. Dwie głowy wyrobione w rogu sklepienia, uważane są jako wierne postaci gniewliwego rzeźbiarza i jego ofiary.

Założenie kaplicy Roslynu opowiadają następującym sposobem. Wiliam Saint-Clair, jeden z możnowładców Szkocyi, razem książę, baron, lord, admirał i namiestnik Szkocyi, polując w bagnach Roslynu z królem Robertem Bruce, założył się o głowę swoją, że jego psy Help i Hold schwytają białego daniela wprzód nim dobiegnie do naznaczonego miejsca. Zwierz uciekał niezmiernie szybko i nie roztropany strzelec postrzegł że już dobiega do strumienia, któreń gdy przeskoczy, będzie wolnym od pogoni. Wówczas, przestraszony Saint-Clair ślubował założenie kaplicy Stój Katarzyny, jeżeli uniknie tak wielkiego niebezpieczeństwa. W tej właśnie chwili, Help dognał daniela, ale biedny pies źle wynagrodzony został, gdyż pan jego zgniół go nogą, aby na przyszłość nie narażał go na tak niebezpieczne koleje. Wyrobione postaci psa i człowieka, na posadzce kaplicy, mają wskazywać grób tego zuchwałego i niewdzięcznego myśliwca.

Inne podanie utrzymuje, że gdy jaki pan Roslynu ma umrzeć, kaplica okazuje się cała w płomieniach.

Z resztą, lud szkocki ma najdziwniejsze wyobrażenia o umarłych. Dusza nie opuszcza izby, w której się rozłączyła z ciałem, aż dopiero po skończonym pogrzebie. Unosi się nad katafalkiem, a jeżeli ją zaklą pewnym tajemniczym sposobem, może na chwilę ożywić ciało i opowiedzieć przyczynę śmierci. Dusza nie jest sama w izbie, wszystkie dusze znajome dotrzymują jej towarzystwa, aż do chwili pogrzebu. Zwyczaj nakazuje otworzyć drzwi izby w której leży ciało, albo je zupełnie zamknąć; gdyby tylko były na pół zamknięte, pierwsza osoba wchodząca do izby, ujrzałaby ciało siedzące na łożku.

MOROWE POWIETRZE NA POKŁADZIE OKRĘTU.

Była pogoda, przezroczyste obłoki przesuwwały się czasem po błękitnie nieba, okręt *le Glorieux* nazajutrz o świcie miał podnieść kotwicę, gdyż od dnia wczorajszego dał wiatr pomyślny. Płynął na morze południowe; podróż miała być długa; pożegnanie długo trwało. W przejrzystych i spokojnych wodach Tagu, odbijał się okręt oświecony zewsząd na rozkaz oficerów, którzy tego wieczora wyprawili ucztę swoim współziomkom zamieszkałym w Lizbonie: była to świetna zabawa, przy której zapominano o smutku, oddając się nadziei.

Nie bardziej nie zgadza się w tak mało liczny i zachwycający sposób, z głośną i ochoczą radością, jak widok wojennego statku przybranego z całym wytworem: i w rzeczy samej, okręt *le Glorieux* rozwinął w tym razie wszelkie zasoby swój sztuki.

Nad przednim pokładem, rozciągnięty był namiot różowy, pięknie odbijający się od światła tysiąca lamp, zawieszonych w girlandy, u lin i drągów okrętowych. Ale w oczach majtków, którzy wdrapawszy się na tylny maszt, albo oparci wzdłuż strzelnic, przypatrywali się, z części najmniej oświeconej, ochocemu gronu oficerów i dam, była to jakaś wiejska zabawa na zaczarowanej wyspie, jakieś fantastyczne widzenie, unoszące się nad rzeczywistością życia. Wszystko na pozór było szczęściem, radością, zachwyceniem, i widząc taniec tych żeglarzy, niktby nie pomyślał, że za dwadzieścia cztery godzin, już będzie między niemi a ich pięknymi tancerkami, przestrzeń, nie przeżyta nawet dla oczu kochanków: żaden z nich bowiem nie wspomniał sobie, że nazajutrz zgjąć będzie musiał do ciężkich obrotów żeglarskich, swe członki, tak miękko zgadzające się z tańcem muzyki.

Lecz pośród tego zgromadzenia, było dwoje osób, których oblicza dziwacznie tworzyły sprzeczność: albowiem cierpienia moralne, tak nagle przechodzą na twarz, jak krew z serca do głowy: a przy mnogich światłach, tém mocniej odbijała się bladeść ich liców. W rysach młodego człowieka widać było ślady głębokiego zmartwienia, które poskramiła mocna wola. Na twarzy kobiety malowała się ta boleść bez przymusu, którą tylko sama płęć niewiast zdoła znieść z anielską rezygnacją.

Był to Juliusz i Irma L. zaślubieni przed kilkoma dniami. Juliusz miał popłynąć do Brazylii. Nie będą opowiadał dla czego rozłączyli się tak wcześnie; było to jedno

z tych zdarzeń, które częstokroć zmieniają bieg przeznaczenia człowieka.

Raz tylko tańczyli, ale razem; potem usunąwszy się do tylniej części pokładu, odwrócili oczy od zgromadzenia i zdaleka spoglądali na ziemię, która wydawała się jak żałobna osłona, za oświetlonym okrętem.

Juliusz jednoczył z głęboką czułością, niesłychaną moc duszy. Nazajutrz już był daleko na morzu, a majtkowie uprzętnęli wszelkie szczątki zabawy. Zamiast dźwięków muzyki, rozlegał się lekki szum bałwanów, a Juliusz stracił z oczu tę ziemię, którą wczoraj jeszcze widział za sobą.

Drugiego dnia podróży uderzył go widok młodego majtka, chodzącego na pokładzie, z twarzą siniej bladeści, niepodobnej do opisaną. Zawołał go, zapytał się czy jest chory, a powodowany współczuciem litości, radził mu znieść i położyć się do łóżka. Majtek nie zważał na tę przestrożę i na chwilę silniejszy od choroby, wlaźł na maszt dla zwinięcia żagłów, ale w chwili gdy przykłękał na reju, zemdłał, a przesunąwszy się między liny i żagle, ciężko spadł na pokład. Juliusz pobiegł do niego i podniósł go; biedak już nie żył, a jego rysy wyglądały jak rysy trupa od kilku dni zmarłego.

Mimo tego, zapisano w dzienniku okrętowym, że ten młody majtek zabił się spadłszy z masztu. Lecz nie było ani wzmianki o chorobie i tylko czémprędzej rzucono ciało w morze, zapewne bojąc się aby przypadek nie zamienił się w epidemiczną chorobę. Daremnie Juliusz zwracał uwagę na tak nagłe zepsucie się trupa, nie słuchano go wcale.

Nazajutrz, kilku z osady okrętowej zachorowało, a za dwadzieścia cztery godzin, co raz więcej zaczęto chorować i umierać. Wówczas dopiero zatrwożył się kapitan i wkrótce pomiędzy majtkami rozszerzyła się wieść tajemnicza, że Portugalczycy musieli zatruć żywność okrętową. Lecz Juliusz w szczerości serca zbijał tę obmierzłą potwarz, a jednakże nie śmiał przypuszczać, że plaga ta jest dziełem potężniejszej ręki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JESIEŃ POETY.

Elegia St. hr. Starzyńskiego.

Skroń moją już szrony bielą,
Dni mych jesień przyszła weześnie,

Troski rychłą zimę ścielą!..

Dni szczęścia nikną jak we śnie.

Upłynął mi ciąg dni krótki,

Jeśli chwile szczęsne liczę,

Lecz długi, gdy na me smutki,

Gdy wspomnę na me gorycze!

We łzach, o śpiewy żałośnie!

Ujrzałyście życia zorze;

Tak cierpi męki nieznośne,

Gdy ją nurek żywcem porze,

Muszla dobyta z wód łona;

Perłę w niej chciwiec znajduje;

A rad z zdobyczy, nie czuje

Cierpień, w których muszla kona.

A ten wodorzut w paniały,

Co w obłoki z szamem tryska,

I zdrobnionemi kryształy,

Jak deszczem klejnotów błyska;

Ciosowej więzień sadzawki,

Tylu wdzięcznych zjawisk sprawca,

Rosząc kwiaty, żywiąc trawki,

Ten zieloności rozdawca,

Ten strumyk igrzysko pychy:

Czy sądziecie, że ochoczy

Rzucił braci swych nurt cichy,

By tu wasze łudził oczy?

Łagodny jego szmer zginął,

Ach! radby jak niegdyś w lasku,

Gdy pod kwiatów cieniem płynął,

Zrzec się zmuszonego blasku!

Tak i Wieszczy, szczęsny dopóty,

Póki wrzące w nim płomienie,

Jak ścięzionej wody rzuty,

Nie wytrysną w głośnie pienie;

Póki jak muszla skrwawiona,

Gdy drogim darzy klejnotem,

Skarbu nie wydrą mu z łona,

Przeszytego srogim grotem;

Lub póki, jak ten dąb stary,

Na którego piorun strzeli,

Sam płonąc wrzącemi żary,

Puszczy blaskiem nie obdzieli.